

Hamulce rozwoju nauki: ocena czasopism.

W Pauzie („Naukowa ślepota”, nr 435, 6.09.2018) pisałem o wpływie punktacji czasopism na rozwój nauki. Rozporządzenie z 7.11.2018 „w sprawie sporządzania wykazów wydawnictw monografii naukowych oraz czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych” określiło sposób oceny czasopism z podziałem na 6 kategorii, za 20, 40, 70, 100, 140 i 200 punktów, wyliczonych wstępnie na podstawie 6 różnych wskaźników wpływu, opartych na analizie cytowań danego czasopisma. Powołano zespoły doradcze w poszczególnych dyscyplinach, oceniające czasopisma uwzględnione w pięciu bazach (w naukach ścisłych i technicznych jest to Web of Science i Scopus). Komisja Ewaluacji Nauki powinna usunąć wydawnictwa nie spełniające etycznych i naukowych standardów, chociaż trudno tu o w pełni obiektywne kryteria.

Rozporządzenie jest szczegółowe i nie zostawia dużego pola do korekty przypisanych punktów. Zespół może napisać uzasadnienie i zmienić maksymalnie o dwa stopnie przypisaną punktację, np. podnosząc ocenę z 20 do 70 punktów. Teoretycznie powinno to nas uwolnić od „tyranii współczynników wpływu”, które nie oddają znaczenia czasopism w wielu dyscyplinach. Stwarza to jednak wiele problemów. Np. w dyscyplinie „informatyka techniczna” znakomite czasopisma, takie jak „Nature Machine Intelligence” czy „IEEE Transactions on Biometrics, Behavior, and Identity Science” nie znalazły się wcale na liście czasopism punktowanych i nie ma mechanizmu by je uwzględnić. Jeśli już znajdą się na liście dostaną na początek 20 punktów, dopóki nie będą miały wyliczonych współczynników wpływu. To oznacza, że nie warto w nich publikować.

To jest ważne zagadnienie: nadając punkty czasopismom zachęcamy by pracować w dobrze rozwiniętych gałęziach nauki. Jak możemy promować nowe, obiecujące kierunki, w którym jest szansa by zostać pionierami? Jak napisał Robert Frost „Dwie drogi; pojechałem tą mniej uczęszczaną - Reszta wzięła się z tego, że to ją wybrałem.” Nowe czasopisma lub niszowe specjalności, np. informatyka w archeologii, architekturze czy komputerowej chirurgii, nabiorą wartości za 10 lat. „Network neuroscience” czy „Cognitive Neurodynamics” to najlepsze czasopisma w bardzo ważnych specjalnościach, ale punktów mają mało i publikując w nich kariery w Polsce nie zrobimy. Są zbyt nowe i za daleko od głównego nurtu. Na wielu uczelniach są finansowe nagrody za wysoko punktowane publikacje, bo tylko takie wpłyną na ocenę dyscyplin. Stawiamy więc na petryfikację nauki. Nie będzie nagród Nobla, do ligi europejskich uniwersytetów badawczych (LERU) się nie dostaniemy, ale w rankingach opartych na punktach trochę awansujemy.

W ten sposób marnujemy to, co najcenniejsze. Deklaracja San Francisco oceny nauki z 2012 roku (DORA) podkreśla, że wskaźniki bibliometryczne nie służą ocenie pojedynczych publikacji ani naukowców (słynny indeks wpływu IF został wprowadzony dla bibliotekarzy by ułatwić wybór czasopism do subskrypcji). W praktyce nie da się jednak tego uniknąć skoro to

podstawa do oceny dyscyplin, a nowatorskich osiągnięć nie potrafimy ocenić. Zespoły mogą do pewnego stopnia zachęcać lub zniechęcać do publikacji w danym czasopiśmie argumentując, że publikują w nim znani naukowcy, wydawnictwo jest znane, liczba cytowań szybko rośnie, pomimo młodego wieku czasopisma i jeszcze niezbyt popularnej specjalności.

Wkrótce okaże się, ile zespołów mechanicznie przeniosło indeksy bibliometryczne na punkty, a ile kierowało się dokładniejszymi ocenami. Mając do oceny tysiące czasopism na pewno nie udało się uniknąć błędów. Np. w informatyce technicznej wybrano ponad 2 200 czasopism z 27 700. Informatyka obecna jest obecnie w każdej dyscyplinie, to jest dyscyplina niejako „horyzontalna”. Jest wielu profesorów na najlepszych amerykańskich uczelniach jak i w zespołach badawczych takich firm jak Google, Microsoft, IBM, Amazon czy Facebook, którzy publikują głównie na konferencjach i raczej nie mogli by u nas liczyć na awans. W informatyce pozwolono więc przypisać punkty wybranym konferencjom znajdującym się na liście CORE, opracowanej w Australii. Twórcy tej listy pytali o rekomendację swoich znajomych (pracując w Singapurze sam wypełniałem ich ankietę). Najlepszym konferencjom nadano rangę A*, a pozostałym A, B, C i D. W rezultacie mamy to, co Australijczycy lubią najbardziej, czyli głównie konferencje z Azji, duże konferencje amerykańskie i niewiele europejskich. Taka lista nie ma wiele wspólnego z obiektywną oceną, ale jest punktem wyjścia dla zespołu oceniającego. Możemy nieco zmienić ranking przypisując punkty do konferencji na tej liście, uzasadniając to publikacją materiałów w renomowanych seriach wydawniczych, lub wysokimi cytowaniami wybranych prac. Niestety nie wolno nam dopisywać nowych konferencji, dlatego organizowane od dekad konferencje polskie zostaną pominięte i umrą śmiercią naturalną – bez punktów nie ma sensu brać w nich udziału. Podobny los spotka konferencje w niszowych dyscyplinach, których Australijczycy nie uprawiają więc nie znalazły się na liście.

Czy ten wielki wysiłek sprzyja innowacyjnej nauce? W USA polityką naukową sterują instytucje grantowe, aktywnie zachęcające do pracy nad nowymi specjalnościami, w których jest szansa na ważne odkrycia. To dobra polityka rozwoju. Na razie nie widać szans na podobne rozwiązanie u nas. Obawiam się, że zamiast innowacji czeka nas petryfikacja.

Włodzisław Duch,
UMK Toruń